

Józef Czapski: O obozie w Starobielsku

Najwyższy czynnik rosyjski wyraził przypuszczenie, że nasi oficerowie uciekli do Mandżurii. Otrzymał na to odpowiedź gen. Andersa, że zbyt dobrze zna on organizację NKWD, aby mógł to brać poważnie pod uwagę. Stalin uśmiechnął się na ten komplement i zapewnił, że jeżeli są jeszcze jacyś ludzie, którzy bezprawnie zatrzymują Polaków w obozach, to on tych ludzi będzie „łamał”. Cała sprawa na tym utknęła – mówił Józef Czapski w 1943 roku na łamach czasopisma 2. Korpusu Polskich Sił Zbrojnych „Orzeł Biały”.

Redakcja „Orła Białego”: Wśród żołnierzy naszej Armii na Wschodzie rośnie zaniepokojenie o los naszych oficerów i szeregowych zamkniętych w obozach w Starobielsku, Kozielsku i Ostaszkowie bezpośrednio po kampanii wrześniowej. Po ostatnich wiadomościach niepokój ten przemienia się niemal w tragiczną pewność. Pragnąc uzyskać możliwie pełny obraz tego, co dotąd wiemy o tym dramacie, zwróciliśmy się do b. Jeńca obozu w Starobielsku rotmistrza Józefa Czapskiego z prośbą o podzielenie się posiadanymi wiadomościami z czytelnikami.

Redakcja „Orła Białego”: Co i kiedy Pan Rotmistrz miał wspólnego z obozem w Starobielsku?

Józef Czapski: Dnia 26 września 1939 r. dostałem się do niewoli rosyjskiej wraz z kadrą 8 pułku ułanów. W Starobielsku osadzony zostałem w początkach października, wyjechałem zaś stamtąd, jako jeden z ostatnich, w maju 1940 r. Los kolegów ze Starobielska, Kozielska i Ostaszkowa interesował mnie oczywiście bardzo. Toteż kiedy w listopadzie 1941 r. otrzymałem zadanie przyjmowania żołnierzy przyjeżdżających do Wojska Polskiego, przeprowadziłem wśród nich ankietę co do losu zaginionych. Zajmowałem się tymi badaniami na rozkaz gen. Andersa do 1 kwietnia 1942 r. Przepytałem w tej sprawie tysiące ludzi. Udało mi się zebrać okruchy wiadomości, które w kwietniu 1942 r. zakomunikowałem min. Kotowi w Kujbyszewie.

Czy zostały sporządzone ambasadorowi listy zamkniętych w tych obozach?

Wśród uratowanych byli oficerowie, którzy pomagali komendantom obozów w ich zarządzie gospodarczym. Tak na przykład nadzwyczaj cennych wiadomości dostarczył por. Bronisław Młynarski, b. Adiutant starszego obozu w Strobielsku. Dzięki temu udało nam się sporządzić dokładne wykazy jeńców. Ogólna ich liczba w trzech obozach wynosi ponad 15 000 osób, w tym 8 700 oficerów. W samym Starobielsku osadzeni byli prawie wyłącznie oficerowie oraz stu kilkudziesięciu podchorążych. W Ostaszkowie natomiast znajdowali się przeważnie szeregowi z KOP i z Policji Państwowej.

Byli to wszystko jeńcy wojenni, zabrani do niewoli we wrześniu 1939 r. Z nich wszystkich, jak dotąd, znajduje się na wolności zaledwie 300-400. Około 300 z tych uratowanych przeszło później przez obóz w Griazowcu, kilkudziesięciu zaś przez więzienia, do których zostali indywidualnie wywiezieni z Kozielska, Starobielska i Ostaszkowa. Po wywiezieniu jeńców zrobiono w Starobielsku obóz dla zesłańców politycznych, co jest jednak już zupełnie inną sprawą.

Jak się przedstawiał nastrój psychiczny jeńców w Starobielsku?

Z początku nastrój ten był fatalny. Składały się na to przygnębienie klęską, brak jakichkolwiek wiadomości z Polski, okropne warunki mieszkaniowe. Niektórzy współtowarzysze niedoli nie mogli się powstrzymać do brutalnych sporów. Jeśli dodamy do tego zachowanie się dozorców – otrzymamy niezbyt wesoły obraz życia w obozie.

Jednym z najbardziej przejmujących dla mnie wydarzeń był powrót tej brudnej, zawszonej, zrozpaczonej gromady ludzkiej do człowieczeństwa i życia intelektualnego. Pierwszym wstrząsem był 11 listopada (1939 r.). Byłem obecny na jednym ze zbiorowych nabożeństw, gdy ks. Aleksandrowicz odczytał ze szczęśliwie przewiezonego łacińskiego brewiarza ewangelię o dzieweczce, którą Chrystus wskrzesił. Słowa „nie umarła ale śpi” przyjęte zostały ze zrozumiałym wzruszeniem. Potem odbyła się akademie, na której młody podporucznik deklamował „List z Syberii” Or-Ota, i któryś z wierszy Lechonia.

Wkrótce potem NKWD rozpoczęło pierwsze nocne wywożenia naszych kolegów w nieznanym kierunku. Wywiezieni zostali wówczas por. Kwolek, rtm. Kuczyński i inni. Jedynie o Kwołku doszła na wieść, że umarł na suchoty na dalekiej północy.

Drugim wielkim wydarzeniem w naszym życiu duchowym były święta Bożego Narodzenia. Kiedy pomyślimy, że wszyscy ci ludzie prawie na pewno nie żyją, nawet najmniejsze szczegóły z tych czasów nabierają swoistego, patetycznego zabarwienia. Pamiętam jak dziś długi stół zbity z desek, skradzione gdzieś drzewko, kilka bułeczek i cukierków i cały Starobielsk rozbrzmiewający przez noc kolędami. Władze obozowe były przerażone i nie mogły sobie dać z nami rady. W tym czasie rozpoczęły się po poszczególnych barakach odczyty i w ogóle życie umysłowe zaczęło odżywać.

Czy może Pan Rotmistrz wymienić jakieś nazwiska w związku z tym „odrodzeniem” Starobielszczan?

Dużą w tym rolę odegrał major Sołtan, szef sztabu gen. Andersa w czasie kampanii wrześniowej. Pochodził z rodziny powstańczej i godnie podtrzymywał tę tradycję. Jako jeden z pierwszych rozpoczął odczyty o kampanii wrześniowej i historii wojen. Do podniesienia ducha przyczynił się również bardzo ks. Aleksandrowicz, nadzwyczaj świątły kapłan, wraz ze swoimi współtowarzyszami niedoli pastorem Potockim i rabinem Steinsbergiem. Zostali oni wywiezieni ze Starobielska w przededniu Wigilii Bożego Narodzenia. Sąsiadowałem na pryczy z por. Skwarczyńskim, współredaktorem „Polityki”. Zbierał on wokół siebie ekonomistów i zawzięcie dyskutowali nad programem gospodarczym

Rzeczypospolitej. Mitera – geolog, stypendysta Rockefellera, z którym się również przyjaźniłem, mówił ciekawie o kosmografii. Tomasz Chęciński, namiętny federalista o świetnej inteligencji politycznej, miał rzadki dar zdobywania sobie przyjaciół i stronników. Iluż ich było, żywym koleżeństwem w przeciągu kilku miesięcy przeobrazili oblicze duchowe obozu. Dr Kołodziejcki, wybitny chirurg warszawski, Piotrowicz – historyk krakowski, Karczewski, profesor z Rydzyny... i setki innych, których twarzy zapomnieć nie mogę.

Jak przedstawiały się warunki życia w Starobielsku?

Warunki te były niewątpliwie o wiele lepsze od tych, w których żyli w „łagrach” zesłańcy polityczni. Jeść dawano mało, ale nie było szczególnie dotkliwego głodu. O ile chodzi o pomieszczenie, najgorzej było w tzw. „Cyrku”. Była to dawna cerkiew. Mieszkało w niej około 1000 ludzi. Prycze ustawione były w 5 pięter. Ponieważ było bardzo ciasno, potrzeba było cudów zręczności, by nie spaść spod kopuły na ziemię. Ja spałem w baraku na rogu ulicy Lwowskiej i Norwida. Nazywaliśmy w ten sposób korytarze między pryzami. Poza tym była w obozie mała biblioteka, zawierająca jedynie książki rosyjskie. Nie zaspokajała ona nawet setnej części wymagań. Badania odbywały się na ogół bez znęcania się fizycznego, zdarzało się co najwyżej, że pytano kogoś bez przerwy przez trzy dni i noc.

Jak wyglądało wywożenie Panów ze Starobielska?

Najpierw władze puszczały uporczywe pogłoski, że zostaniemy oddani Niemcom. Później pojawiły się słuchy, że mamy być przewiezieni przez Rumunię i Grecję do armii polskiej we Francji. Władze sowieckie usilnie współdziałały w szerzeniu tych wieści. Dochodziło do tego, że budzono nas w nocy i pytano, kto zna języki krajów bałkańskich... Pewnego dnia znowu jeden z jeńców znalazł marszrutę, rzekomo naszą, na kratce papieru. Prowadziła przez Bendery (Besarabia) do Grecji. Oczywiście, podrzuciono ją naumyślnie.

Czy jednak w pogłoskach tych nie było nic prawdy?

O ile chodzi o wydanie nas Niemcom, to niewątpliwie coś w tym tkwiło. Wiem na przykład, że moje dwie siostry i żona dr. Kołodziejskiego spędziły z ramienia Czerwonego Krzyża kilka tygodni na granicy z tysiącami paczek oczekując naszego przybycia. Polecenie tego wyjazdu otrzymały niewątpliwie w porozumieniu z władzami niemieckimi.

Z kogo składała się grupa, z którą Pana wywieziono?

Jak zaznaczyłem, była to jedna z ostatnich grup. Po naszym wyjeździe prawie nikt już nie pozostał w Starobielsku. Składała się ona z kilkunastu oficerów. Nasuwa się pytanie, na podstawie jakiego kryterium zostali oni wybrani. Zastanawiałem się często nad tym pytaniem i przyszedłem do przekonania, że nie było żadnej wyraźnej podstawy politycznej czy innej, aby uratować życie 70 oficerom, których ze Starobielska przewieziono do Griazowca. Jedynym kryterium była tu zupełna dowolność, która robi wrażenie przypadku. Była tam

cała gama stopni i przekonań, od generała Wołkowickiego do szeregowca, od ludzi, którzy zrobili sobie „krasny ugołok” do skrajnych zwolenników ONR.

Ze Starobielska zostaliśmy wywiezieni „stołypinkami” do Pawliszczewa Boru, koło Smoleńska, a następnie do Griazowca, gdzie spotkaliśmy paruset kolegów z Kozielska i Ostaszkowa. Z Griazowca zostaliśmy zwolnieni po „amnestii”.

Jakie wskazówki co do losu jeńców z tych obozów dają informacje zebrane przez Pana po uwolnieniu?

Długo by o tym mówić, a jednocześnie tak niewiele. Pierwsze wiadomości wskazywałyby na Ziemię Franciszka Józefa. Tak na przykład szef NKWD w Czkałowie, którego o to pytałem, potwierdził, że jeńcy Starobielska znajdowali się w porcie Dudinka u ujścia Jeniseju. Jest to port, z którego wyjeżdża się na Ziemię Franciszka Józefa.

Wszystkie te informacje miały jednak niepewny charakter. Przeciw tej koncepcji przemawia także okoliczność, że kiedy odwiedziłem szefa obozów koncentracyjnych w całym ZSRR gen. Nasietkina, ten ostatni nie chciał mi wprawdzie nic powiedzieć, ale za jego plecami wisiała ogromna mapa, na której wyrysowane były wszystkie „łagry” na terenie całego Związku – ani jednego nie było na Ziemi Franciszka Józefa.

Jakie jeszcze wiadomości doszły Pana w sprawie Starobielszczan, Kozielszczan i Ostaszkowców?

Między wypuszczeniem mnie z obozu i wyjściem naszej armii z ZSRR objechałem wszystkie możliwe urzędy, o których można było przypuścić, że coś wiedzą o losie moich współtowarzyszy. Nic pewnego nie mogłem się dowiedzieć. Dotarłem również do gen. Rajchmana, jednego z wyższych dygnitarzy NKWD w Moskwie. Przyjął mnie z początku z chłodną uprzejmością i obiecał sprawę wyświecić. W kilka dni później zatelefonował jednak, że wyjeżdża i nie będzie się mógł ze mną zobaczyć. Radził zwrócić się do Wyszyńskiego (wicekomisarz spraw zagranicznych ZSRR), który ma akta tej sprawy. Do Wyszyńskiego zwracał się jednak uprzednio osiem razy ambasador Kot – bezskutecznie.

Jakie było stanowisko Stalina w tej sprawie?

Stalin indagowany najpierw przez ambasadora RP przyjął z wielkim oburzeniem do wiadomości, że są jeszcze Polacy nie wypuszczeni na wolność. Potem dodał, że „amnestia” odnosi się absolutnie do wszystkich i zatelefonował do NKWD z rozkazem natychmiastowego wykonania tej decyzji. Powtórnie Stalin został zainterpelowany w tej sprawie na Kremlu, przez gen. Andersa, w czasie wizyty gen. Sikorskiego. Najwyższy czynnik rosyjski wyraził przypuszczenie, że nasi oficerowie uciekli do Mandżurii. Otrzymał na to odpowiedź gen. Andersa, że zbyt dobrze zna on organizację NKWD, aby mógł to brać poważnie pod uwagę. Stalin uśmiechnął się na ten komplement i zapewnił, że jeżeli są jeszcze jacyś ludzie, którzy bezprawnie zatrzymują Polaków w obozach, to on tych ludzi będzie „łamał” („my budiem ich łomat”). Cała sprawa na tym utknęła.

Jakie są końcowe wnioski Pana Rotmistrza?

Wszelkie produkty niemieckiej propagandy przyjmować musimy ze zrozumiałą ostrożnością. Jednakże szczegółowość informacji, zgoda władz niemieckich na zbadanie sprawy przez delegację Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, ogólne zaprzeczenie sowieckie, a przede wszystkim brak wieści o zaginionych przez całe trzy lata nie pozwalają na optymizm. Z ostatecznym sądem wypada poczekać na wyniki prac wspomnianej komisji Czerwonego Krzyża. W każdym razie nie mogą one służyć za usprawiedliwienie terroru niemieckiego, tak samo, jak barbarzyństwa niemieckie nie mogą łagodzić naszego sądu o tragedii kozielsko-starobielskiej-ostaszkowskiej.

Wywiad ukazał się na łamach „Orła Białego” nr 16/55, 1943 r.